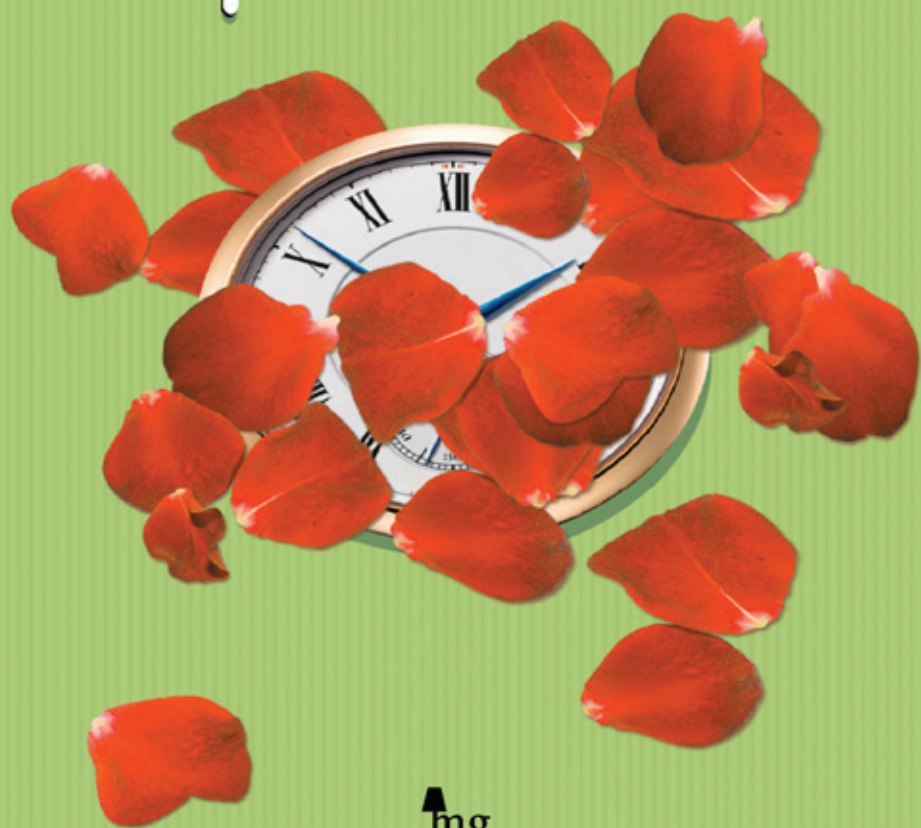


JOLANTA
KWIATKOWSKA

Rozsypane
wspomnienia



mg

JOLANTA
KWIATKOWSKA

Rozsypane
wspomnienia

Copyright © 2011, Jolanta Kwiatkowska

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-7779-029-8

Projekt okładki: Maciej Sadowski

Opracowanie redakcyjne: Wydawnictwo MG

Skład: Jacek Antoniuk

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

*Prawda jest dziwniejsza od fikcji,
a to dlatego, że fikcja musi być
prawdopodobna. Prawda – nie.*

Mark Twain

Siostro, dziękuję za to,
że zawsze jesteś przy mnie, ze mną i obok mnie...

– Mamuś. Proszę cię. Przemyśl to jeszcze raz – prosiła Elżunia, trzymając mnie za ręce i błagalnie patrząc mi w oczy.

– Moja dziewczynko. – Starałam się mówić spokojnie, tuląc ją do siebie. – Ty jedź. Rozpocznij nowe życie. – I po chwili dodałam, chcąc wywołać uśmiech na jej twarzy: – Starych drzew się nie przesadza. – Tym razem nie zadziałało.

– Nowe życie? Jak? Bez niego? Mojej miłości. Sensu mojego życia. Oparcia. Wszystkiego. – Ela sięgnęła po następną chusteczkę. – Mamo, ja jestem pewna, że Michał tym wszystkim nadal jest.

– Wiem, że tak czujesz. Od początku zapewniałaś mnie, że to mężczyzna dla ciebie.

Z trudem przeszły mi te słowa przez gardło. Zgodnie z radą mojej przyjaciółki nie reagowałam na czas teraźniejszy, którego Ela nadal używała. Od pogrzebu jej męża minęło sześć miesięcy i tydzień. Ona odznaczała dni w kalendarzu wiszącym w kuchni. Potem przeliczała je na godziny, minuty i sekundy...

Dopiero sześć tygodni po pogrzebie mogłam spotkać się z Krystyną, która jest psychologiem. Umówiliśmy się u niej, żeby móc dłużej swobodnie porozmawiać. Do tego czasu Ela praktycznie nie wychodziła z domu. Z trudem udało mi się ją namówić na kilka krótkich wyjść. Najczęściej wieczorem, gdy już było ciemno. Szłyśmy bez słowa do pobliskiego parku, siadałyśmy na ławce i milcząc, siedziałyśmy do momentu, gdy znów zaczynała płakać i dygotać jak w febrze. Po powrocie kładła się w ubraniu na kanapę, zamykała oczy i znów była z Michałem. Cieszyłam się, że robi to w pokoju, a nie zamyka się w sypialni. Mogłam cały czas być z nią, mimo że w pierwszych dwóch tygo-

dniach po pogrzebie ja dla niej nie istniałam. Niczego ani nikogo nie było, był tylko Michał. Próbowalam coś mówić, pocieszać, uspokajać. Namawiać do zjedzenia czy umycia się. Tłumaczyć, że alkohol ani proszki nasenne nie są rozwiązaniem. Wiedziałam, że niewiele mogę pomóc i cały czas miałam wyrzuty sumienia, ale nie z tego powodu. I dlatego odskocznia w postaci rozmowy z przyjaciółką była mi bardzo potrzebna.

– Krysiu, Ela w zasadzie nie śpi. Nie je. Czasami zdrzemnie się, siedząc na kanapie. Już nie pyta dlaczego. Nie płacze. Nic nie robi. Po prostu siedzi. Tak się o nią boję. Co robić?

– Przeczekać. Być w pobliżu. Potrzebuje czasu, żeby dotarło do niej to, co się stało. Teraz przeżywa bunt i jednocześnie czuje lęk. Bezradność. Najważniejsze, żebyś jej nic nie tłumaczyła, nie powtarzała frazesów, że potrzeba czasu. Ważne, żeby to ona zaczęła mówić. Wszystko jedno co. Zaproponuj, żeby opowiedziała ci, jak się poznali. Pytaj o szczegóły. I słuchaj, jakbyś słyszała wszystko pierwszy raz. – Popatrzyła na mnie i widząc moją minę, dodała: – Gośka, postaraj się zachowywać i postępować tak, jak czasami musisz się zachowywać w pracy. Zaparzyć jeszcze herbaty? – Kiwnęłam głową. Wstała i poszła do kuchni.

Długo rozmawialiśmy i dobrze mi to zrobiło. Mogłam wrócić do domu i spróbować przerwać milczenie Eli. Krysia miała rację. Moje pierwsze próby pomocy typu: „Elżuniu, wiem, co czujesz, musisz być silna, czas leczy rany” – były z tych oczywistych, ale zupełnie chybionych w czasie, w którym ona nie myślała, nie widziała, nie słyszała. W czasie, który według niej nie miał prawa przyjść. Wiedziałam o tym, a jednak nie umiałam inaczej. Moje zachowanie było efektem ulgi, którą poczułam, odchodząc od grobu Michała. Ale o tym wiedziałam tylko ja.

Przepracowałam w zawodzie prawie trzydzieści lat. W szpitalu na różnych oddziałach i w przychodni dla kobiet. Jestem

położną i pielęgniarką. Doskonale wiem, że w pierwszym okresie po śmierci bliskiej osoby nie powinno się dawać żadnych rad i wskazówek. Niekiedy nawet mówić o swoim współczuciu. Nie pocieszać, nie porównywać, nie pouczać. Wystarczy być. Tuż obok albo i dalej. Być odczuwalnym, a jednocześnie niewidocznym. Widzieć, nie patrząc. Słuchać milczenia. Nie słyszeć krzyku. Czasami wystarczy podać chusteczkę, szklankę wody, krople. Zbliżyć się lub usiąść dalej. Przytulić lub przyjąć rądy. Wczuć się w zachowanie zrozpaczonej osoby. Zawsze jednak trzeba być czujnym, żeby nie przegapić momentu, w którym potrzebna jest zdecydowana reakcja.

Tyle razy widziałam reakcje rodzin na śmierć najbliższych. Różne. Od obojętności do samobójczych prób w szpitalnej toalecie. Przez wszystkie lata pracy czułam bezradność wobec rozpaczki nieporównywalnej z innymi. Tragedia, która bezpośrednio dotyczy, jest najboleśniejszą ze wszystkich. Kobieta, której zmarł osiemdziesięciosiedmioletni mąż, pytała mnie: „Dlaczego tak wcześnie Pan Bóg go zabrał?”. Trzymając go za zimną już rękę, powtarzała: „Nie bój się. Nie idziesz sam, idę razem z tobą”. W tym samym czasie, cztery sale dalej, matka tłumaczyła umierającemu ośmioletniemu chłopcu: „Synku, nie bój się. Ty nie umrzesz. Nigdzie nie odejdiesz, zawsze będziesz przy mnie, ze mną. Ja ci nie dam odejść”.

Psychoterapeuci mówią, że śmierci dziecka nie da się z niczym porównać. Mnie życie nauczyło, żeby niczego nie klasyfikować. Nie mierzyć natężenia uczuć. Miłości ani nienawiści. Radości i rozpaczki. Odczuwania przyjemności i bólu. Zastug i win. I na pewno nikogo nie oceniać...

Z Kysią byłam w ciągłym kontakcie. Przeważnie telefonicznym, bo musiała parę razy wyjechać na kilkudniowe szkolenia. Elżbieta dochodziła do siebie. Na tyle, na ile to było możliwe. O Michale mówiła stale, ale zaczęła wychodzić

z domu. Wróciła do pracy. Nawet kilka razy spotkała się ze znajomymi. Przyszła chwila, w której podjęła decyzję. Tu sobie nie poradzi. Musi wyjechać.

I cieszyłam się, i bałam o nią. Na szczęście Krysia już była w domu. Zadzwoiłam, żeby do mnie wpadła. Zgodziła się od razu, chcąc, jak to określiła: „Naocznie sprawdzić co z nami”.

– Gośka. Tak się cieszę, że jest lepiej. Dobrze, że wzięłaś urlop i byłaś z nią w tym najgorszym okresie. Może teraz byście razem wyjechały?

– Elżbieta ma jeszcze prawie trzy tygodnie urlopu. Musi go wykorzystać. Poszli jej na rękę i proponowali, żeby wycofała wypowiedzenie. Nie skorzystała. Nowe przed nią. Tak mówi.

– A od kiedy ma zacząć w tej nowej pracy? – Krystyna odstawiała pustą filiżankę i przesiadła się na fotel. – Wyprostuję trochę nogi. Znów mam skurcze.

– Elżunia zmieniła plany. Zdecydowała się. Nie pójdzie do nowej pracy. Pojedzie do Anglii. Właśnie poszła na spotkanie ze znajomym Michała, do ambasady. Chce się upewnić, co i jak. Nie jestem przekonana, czy to dobrze, że wyjedzie, ale jej dodało to sił.

– Myślę, że podjęła słuszną decyzję. Ostatecznie to jej ojciec. Rozeszliście się tak dawno. Tyle lat nie chciał jej widzieć, a jednak i ciebie, i ją zabezpieczył. – Podesunęła sobie pufa pod nogi. – Wiem, że nie chcesz mówić na jego temat, ale dla Eli ten wyjazd to może być duża szansa na szybszy powrót do normalności.

– Też tak myślę. Tym bardziej, że w dalszym ciągu utrzymuje kontakty ze znajomymi z czasów, gdy była w Londynie. Piotr miał rację. Praca w tamtejszych szpitalach plus biegłość w angielskiej terminologii medycznej otwiera jej wiele możliwości.

– Dalej chce pracować jako instrumentariuszka? Ma już konkretne miejsce czy jedzie w ciemno?

– Ma, odpukać, umówione spotkanie w prywatnej klinice chirurgii plastycznej. Paul, przyjaciel Michała, tam pracuje. Ja mam nadzieję, że zajmie się Elą.

– Nie łudź się. Pół roku to jeszcze za wcześnie na nowy związek.

– Wiem. Miałam na myśli, że jako przyjaciel Michała zaopiekuje się nią. W zasadzie tylko z nim będzie mogła swobodnie mówić o swoim bólu. Martwi mnie to, że dalej mówi o nim w czasie teraźniejszym.

– Nie martw się. Nie prostuj. Nie dziw się. Każdy na swój sposób musi odreagować. Ważne, że rozmawiacie o nim. Niech mówi. Ty słuchaj i nie komentuj. Już się nie izoluje. Nie zamyka w sobie. Będzie dobrze – zapewniała mama chrzestna Eli. Wstała, zbierając się do wyjścia. – Ja ją rozumiem. Rozstanie z ukochaną osobą to cierpienie. Wiem jednak, że moje już niedługo się skończy. Moja tęsknota też. Mój wraca za trzydzieści osiem dni. Znów będziemy razem. – Mówiąc to, nie zdołała zapanować nad uśmiechem. – Elżunia tak bardzo kochała. Pragnęła być i żyć z nim zawsze. Wytłumaczalne w związku są sprzeczki, kłótnie, może nawet i zdrada. Rozwód przydarza się innym. My za bardzo się kochamy. Wiemy, że ludzie nieuleczalnie chorują, giną w wypadkach czy nagle umierają. Oni. Nie my. Tego nie dopuszczamy do naszej świadomości. Niewyobrażalne jest niespodziewane, ostateczne rozstanie – dlatego żałoba jest przeżyciem nieporównywalnie bolesnym. Nie zamartwiał się. Wiesz, że potrzebny jest czas. – Obejmując mnie, dodała: – Wyjazd, załatwianie formalności, nowe środowisko, praca pozwolą Eli nauczyć się żyć bez Michała...

Chwil, które spędziłyśmy razem z Elą na rozmowach o Michale, nadal czując przy nas obecność jej męża, było tylko trochę mniej od tych przeliczanych na sekundy. Ja, mówiąc

o nim, używałam czasu przeszłego bez wyrzutów sumienia. Moje sumienie umarło i pochowałam je wiele lat temu.

– Chciałaś mieć silnego, dojrzałego opiekuna. Brakowało ci w życiu ojca. Michał był po trochu kochankiem, mężem i ojcem. I za to go kochałaś. Byłaś z nim szczęśliwa. Zostanie na zawsze z tobą – podsumowywałam, wiedząc, że to ostatnia rozmowa przed jej wyjazdem. – Musisz żyć dalej. Ciesz się tymi latami szczęścia, które dał ci los. Masz dopiero trzydzieści lat. Nie odwracaj się od tego, co jeszcze przed tobą. Pamiętasz swój ból i rozpacz po zdradzie i odejściu twojego pierwszego męża? Mówiłaś, że to koniec życia dla ciebie. Nie widziałaś sensu ani celu. Minął niespełna rok i znów pokochałaś.

– Mamo. Byliśmy za młodzi. – Ela tłumaczyła mi to, co kiedyś do niej nie docierało. – Jerzy był gówniarzem. Nasze małżeństwo musiało się rozpaść. Ja miałam osiemnaście lat i klapki na oczach. Chciałam się wreszcie zakochać. Jak koleżanki. Mieć chłopaka. Liczył się jego wygląd. Zafascynowana byłam jego sylwetką, oczami, zewnętrzną powłoką i myślałam tylko o przypieczętowaniu związku, żeby nie zdążył się rozmyślić. – Ela zamilkła. Po kilku minutach spokojnie dodała: – Fakt. Bolało. Najgorszy dzień w moim życiu. Tak wtedy myślałam. Dzień, w którym dowiedziałam się, że jestem w ciąży i w trzy godziny później – że będę samotną matką. Koszmar. Spora zapłata za „udawanie miłości”. Każdy musi sam uczyć się na swoich błędach. Nikt tego nie przetłumaczy. – Machnęła ręką na znak, że to już było. – Za co teraz spotkała mnie kara? Kocham. Naprawdę. Całą sobą. Czyżby tym razem za mocno? – Wstała po następne chusteczki. – Pamiętasz, mamo, jaka byłaś przerażona przy waszym pierwszym spotkaniu z Michałem? – Ela roześmiała się.

„To już czwarty raz od pogrzebu”, policzyłam w myślach. „I z tej samej sytuacji”. Z trudem, ale uśmiechnęłam się. Słuchałam, nie przerywając.

– Michał czasem wspominał, że spojrzałaś na niego jak na dziwoląga. Zjawę nie z tego świata. Długo nie wierzyłaś mi, że od pierwszego spotkania coś mnie do niego ciągnęło. Wiedziałam, dlaczego się niepokoisz, i rozumiałam cię. Bałaś się, że znów popełniam błąd. Dla mnie fakt, że był piętnaście lat starszy, nie miał żadnego znaczenia. Twoje tłumaczenie, że jest za stary, że nie znajdziemy wspólnego języka, nie sprawdziło się. Rozumiał mnie jak nikt. Z nim mogłam rozmawiać o ojcu. O Kaście. O wszystkim, co było dla mnie niezrozumiałe. Ty zdawkowo odpowiadałaś na moje pytania. Ciągłe czułam niedosyt. Dopytywałam, a ty odpowiadałaś krótko. Miałam wrażenie, że mnie zbywasz. Michał umiał mnie przekonać po śmierci ojca, że nie ma co dociekać, dlaczego tak, a nie inaczej było między wami. Nie dojdę powodów, dla których ojciec nie chciał mnie widzieć. Pewność, że to rzeczywiście nie jest dla mnie najważniejsze, odczuwałam, patrząc w oczy mojego męża. Spojrzenie Michała do końca, za każdym razem mówiło, że jestem najpiękniejszą, najmądrzejszą, jedyną. Wyodróżnioną ze wszystkich kobiet. Przy nim mogłam się wygłupiać jak dzieciak i wymądrzać jak co najmniej profesor filozofii. On nawet gdy ganił mnie wzrokiem, to z taką miłością, że...

– Znów przerwała. Zamyśliła się, ale oczy miała suche.

– Napijesz się? Pójdę wstawić wodę. Zaparzę nam melisy.

– Wstałam i nie czekając na odpowiedź, poszłam do kuchni.

Ta przerwa potrzebna jej była na porozmawianie z mężem. Ja ostatnio przestałam rozmawiać z sobą. Od chwili jej decyzji, że wyjedzie. Zacznie korzystać ze wszystkiego, co odziedziczyła po ojcu. Czekałam na jej wyjazd.

– Wypij dziecko. Jeżeli nie pomoże, to na pewno nie zaszkodzi. – Zachęcałam, stawiając na stole kubki z gorącą melisą.

– Wiesz, co Michał powiedział w przeddzień naszej „drewnianej” rocznicy ślubu? „Życie pisze takie scenariusze”

sze, których nie wymyśliłby scenarzysty”. Jego oczy patrzyły na mnie z takim podziwem, miłością, sama nie wiem, jak to określić.

– Może jednak coś zjesz? – Udawałam, że nie widzę, jak gładzi siwy kosmyk włosów za uchem. Spokoju nie musiałam udawać, słysząc to enty raz. Za pierwszym razem, gdy mi to opowiadała, ledwo mi się to udało, a i tak zagryzłam wargi do bólu. Ona przez łyzy niewiele widziała.

– Dziękuję. Nie jestem głodna. Nie lubię latać. Wolę mieć w samolocie pusty żołądek. – Dopijała melisę.

Nigdy nie lubiła ziół. Nie brała do ust. Ale to było wtedy, gdy smak, zapach, wygląd miały dla niej znaczenie. Pijąc swoją, czekałam, aż znów zacznie mówić.

– Śmialiśmy się, świętując z okazji piątej rocznicy naszego małżeństwa, że może warto pominąć dziewiątą i dziesiątą. Nie podobała nam się „generalska”. Z samej nazwy. Michał tłumaczył mi, że nazwa pochodzi z łacińskiego *generalis*. Co oznacza główny, nadrzędny. My jesteśmy równi. Cynowa też nam się nie podobała. Stwierdziliśmy, że nie potrzebne nam cynowanie. Żadnej warstwy ochronnej. Postanowiliśmy, że po ósmej, spiżowej, przeskoczmy od razu do jedenastej, stalowej. W literaturze spiż to symbol trwałości i niezmienności. Ten stop odporny jest na korozję i ścieranie. Twardszy niż żelazo. – Sięgnęła po chusteczkę. – Wszystko jest bez sensu. W jednej chwili jest się w niebie, żeby w następnej spaść w czeluść. Chcieliśmy „przeskoczyć”. Oszukać czas. Za karę serce Michała nie wytrzymało. Dlaczego jego, a nie moje?

– Moja mała dziewczynko, mówiłaś, że Michał tłumaczył ci, że są pytania, na które nie ma jednoznacznych odpowiedzi. Tego się trzymaj i nie pytaj. Żyj tu i teraz. Kochanie, już bardzo późno. Raniutko masz samolot. Może położysz się? – spytałam, wiedząc, że nie zaśnie.

– Nie, jeszcze pogadajmy. Jest coś słodkiego? – zainteresowała się, wstając. – Mamo, siedź. Idę do łazienki. Zrobię ci jeszcze herbaty.

– W szafce są wafelki. Zalej mi melisę. Zostawiłam na wierzchu.

Wiedziałam, że też nie zasnę, a kilka wcześniej wypitych szklanek mocnej herbaty jeszcze bardziej mnie pobudziło. Chciałam, żeby Ela wygadała się na zapas. Z kim tam porozmawia, gdy przyjdzie jej chęć mówienia? Sama z sobą będzie rozmawiać podczas bezsennych nocy? Ona tam, ja tu!

– Mamo! – krzyknęła, wchodząc z tacą. – Jakich starych drzew się nie przesadza? Chyba tak o sobie nie myślisz? – Usiadła i od razu zaczęła jeść swoje ulubione, orzechowe wafelki. – Przyjeżdżaj. Nic cię tu nie trzyma. Możemy razem pracować. Może udałoby się otworzyć prywatną poradnię pielęgniarstwo-położniczą? Nie przestałaś być położną. Masz takie doświadczenie. Język szybko podszkolisz. Ja tylko w pracy widzę możliwość zapełnienia pustki. Tak bardzo kocham Michała. – Znów się rozplakała.

Patrzyłam na nią, czując przenikliwy ból podwojony własną bezradnością. Ja, która musiałam nauczyć się zmieniać nieuniknione, stawać twarzą w twarz z losem i wyzwana na pojedynek, podejmować walkę i wychodzić z niej zwycięsko. Nie dla siebie, dla mojej córeczki. W końcu przegrałam. Ale przecież ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Gdy Ela zdecydowała się przyjąć spadek, postanowiłam dać sobie szansę, z nadzieją, że roześmieję się ja. Szczerze i do siebie.

Rozpacz po śmierci męża była w niej całej. Nie tylko w spojrzeniu, oczach, nadal skulonej sylwetce. W każdym centymetrze jej skóry. W kruczoczarnym włosie. Jej włosy zrobiły się nagle takie matowe, wyblakłe, bez życia. Śmierć jej męża znalazła sobie w ciągu zaledwie kilku dni schronienie za jej uchem. Lewym. Tam było dwucentymetrowe posiwiałe nagle

pasma włosów. Od pogrzebu minęło pół roku. Nie chciała go ufarbować. Dla niej to był on, przy niej.

– Kochanie. Jedź. Pozałatwiał wszystkie formalności. Nie podejmij pochopnie decyzji o sprzedaży domu. Najpierw rozpocznij tę przyrzeczoną pracę. Spotkaj się z Paulem, znajomymi. Odczekaj jeszcze trochę. Poczuj się silniejsza i wtedy zdecydujesz, co i jak. – Prosiłam o to samo prawie codziennie. Tylko tyle mogłam. – Przyrzekam, że za pół roku odwiedzę cię. Ale pracować już nie będę. To nie te lata. – Podniosłam dwa palce na znak przysięgi. – Dziś, w czasach komputerów, nie traci się kontaktu. Zainstalowałam mi kamerkę. Zrobimy sobie herbatkę z rumem i popijając, będziemy rozmawiać tyle, ile tylko zechcesz, gdy będziesz miała ochotę na pogaduszki ze „starociem”.

– Oj, mamuś. – Pogroziła mi palcem.

„Wraca do siebie”, ucieszyłam się. Zareagowała jak zwykle, tak jak przed pogrzebem, gdy chcąc skończyć jej przekonywanie mnie, podpierałam się „leciwym wiekiem”.

– Elżuniu, pójdę, umyję się i przebiorę w piżamę, szlafrok. Gdy będziesz chciała, możemy gadać do rana.

– Dobrze. – Też wstała. – Idę po drugą paczkę wafelków...

O swoich latach nie powinienam już pamiętać, chociaż za mną już czas, gdy na jeszcze więcej się czułam, będąc o kilkadziesiąt lat młodsza. Dziś nie czuję się staro, za to jestem bardzo, bardzo zmęczona. Bardziej dbam o swój wygląd niż kiedyś. Kiedyś nie miałam na to czasu. Chociaż nie – miałam czas, tylko wygląd był dla mnie najmniej ważny. Mimo to starałam się wyglądać młodo i modnie się ubierać. „Być w temacie” i „na czasie”. Dla Eli. Być jej partnerką do rozmów. Mieć czas na jej rozterki, problemy okresu dojrzewania. Być matką i ojcem wtedy, gdy nie rozumiała, dlaczego ojciec odszedł i zabrał jej siostrę, Kasię. Wyjechał, a z czasem stracił

z nią kontakt. Staralam się, jak umiałam, żeby nie pozwolić jej zwariować, gdy według niej świat zwariował. Na pewne pytania mogłam odpowiadać bardzo krótko. Na wszystkie inne dawałam wyczerpującą odpowiedź. W latach, gdy już była „dojrzałą, decydującą o sobie” pełnoletnią obywatelką, mogącą głosować i wybierać, czyli, według niej, samodzielnie decydować – mogłam jedynie zapewnić ją, że zawsze może na mnie liczyć.

Dzieci obchodziły dzień babci i dziadka – Ela tylko dzień matki. Przeze mnie. Świadomie i z całą konsekwencją wymazałam te dni z jej kalendarza życia. Dlatego jej urodziny, imieniny, mikołajki były takie jak dla większości dzieci, natomiast Dzień Dziecka był dla niej dniem szczególnym. Pełnym niespodzianek, czarodziejskim dniem spełniania życzeń. Chciałam, żeby był najbarwniejszym dniem w roku. Dla niej, która wiedziała, że jest moim dzieckiem, i dla mnie, która nie umiałam poczuć się jej matką...

Weszłam po cichu do pokoju. Ela jadła ostatniego wafelka – po swojemu, czyli tak jak w dzieciństwie. Rozdzielała andruty i zlizywała masę. Obserwowałam jej rozpogodzoną twarz. Uśmiechające się kąciki ust. Spojrzała na mnie. Kolor tęczywek jej oczu był bardziej popielaty niż niebieski. Nie spotykany odcień. Zawsze wyraźny wtedy, gdy była chora, smutna, zagubiona. Usiadłam. Milczałyśmy.

– Elżuniu. Już bardzo późno. Połóżmy się – poprosiłam, dopijając melisę.

– Kładź się, mamuś. Ja dopiję herbatę.

– Upewnij się, czy wszystko spakowałaś. Najważniejsze dokumenty. Taksówkę zamówiłam na piątą piętnaście. Rano nie będzie czasu na sprawdzanie.

Przytuliłam swoją małą dziewczynkę, która przewyższała mnie wzrostem. Minkę miała jak wtedy, gdy praktycznie

zmusiłam ją, żeby wyjechała na czternastodniowy obóz, organizowany przez szkołę. Musiałam polecieć do Londynu. Na jeden dzień. Pogrzeb mojej kochanej córeczki. Kasiulki. Po powrocie nie mogłam sobie dać rady sama ze sobą. Potrzebowałam tych dwóch tygodni samotności. Bez widzenia, słyszenia, ciągłej obecności Elżuni.

– Mamo, spróbuj zasnąć. Sprawdzę bagaż i też się położę.
– Zgodziła się Ela, na stojąco już dopijając herbatę.

Pocałowałam ją na dobranoc i poszłam do swojego pokoju...

Już godzinę przewracam się z boku na bok. Wiem, że nie zasnę bez proszków nasennych. Nie mogę łyknąć tabletki. To tylko cztery godziny. Jak zwykle jest półmrok. Dawno powinnam zmienić zasłony. To może być jedną z przyczyn bezsenności. Jedna mnie nie zbawi. Zawiesiłam białe, lekko przezroczyste. Pasują. Lubię biel. Uliczna latarnia daje odblask. Nigdy nie jest ciemno. I dobrze. Boję się ciemności. Od dziecka się bałam. W ciemności podwaja się lęk – strach olbrzymieje i wypełnia cały pokój. Ciemność najpierw paraliżuje płuca, potem nogi, ręce i na końcu zaciska powieki. Nie można się ruszyć. Nawet drgnąć. I wtedy ona zabiera oddech, bicie serca – człowiek zamiera i nic już nie może. Ani umrzeć, ani wrócić do życia. Muszę za każdym razem, gdy w końcu uda mi się uchylić powieki, widzieć znajome ściany, szafę, toaletkę. I słoniki. Dużo słoników.

Pierwszy dostałam od swojego rycerza, gdy chodziłam do podstawówki. Gliniany, wściekle różowy. Z czerwoną kokardką na grubej słoniowej szyi. Dał mi go tuż przed moim wyjazdem, a naszym długim, bo aż trzytygodniowym rozstaniem. Słonik miał mnie pilnować na koloniach i przypominać, że mam być grzeczna. I niczego się nie bać, bo mój rycerz czuwa. Najśliczniejsze okropieństwo. Ten malutki, z kości słoniowej na czarnej podstawie, to dotyk mamy. Nawet dziś,

gdy muszę farbować siwe włosy, gdy go ściskam w dłoni, tak żeby poczuć ukłucie jego szpiczasto zakończonej trąbki, to czuję, że moją rękę przykrywa z góry ręka mamy. Tej, jaką chciała być, a nie mogła. Dostała go w dniu zaręczyn od taty. Po jej śmierci tata, chcąc uspokoić mój płacz, włożył mi go bez słowa do ręki i wyszedł z pokoju, nie gasząc światła. Trzymając słonika, wyobrażałam sobie, że trzymam mamę za rękę. Słonik, światło i płacz pozwalały mi zasnąć.

Stoi tu dużo słoników różnych rozmiarów, kolorów (koronkowy leży), a wszystkie mają trąbę do góry. Tylko taki słonik przynosi szczęście. Podobno. Tak mówią. Nie wiem. Może jednak tak.

Piotr obiecał, że w każdą rocznicę naszego ślubu będzie słonik. I przysięga. Piętnaście słoników to te dane na klęcząco, przysięgowe. Obcałowane i słoniki, i dający. Kryształowy to ostatni z klęczących. Danych osobiście. Wyszepłana przysięga – też po raz ostatni. Potem słoniki były w różny sposób dostarczane, a przysięgi składane na różne sposoby. Najczęściej pisane na kartkach.

Rozwód dostaliśmy dwa dni przed kryształową rocznicą. Przysięgowych słoników od mojego jedyne dostałam w sumie czterdzieści jeden. Papierowego, skórzanego i drewnianego zrobił sam. Czterdziesty jest z rubinu. Wykonany na zamówienie. Ostatni znów ze szkła. Jeden z tych największych. Kiedyś, kiedy niespodziewanie weszłam do pokoju, Elżuni wypadł z ręki. Wrzasnęłam: „Zabroniłam ci ruszać”. Ona wzrokiem zabijała mnie, krzycząc: „Nie wrzeszcz na mnie. Chciałam posprzątać”. Wybiegła, trzaskając drzwiami. Na szczęście upadł na grubą wykładzinę. Nie rozbił się. Stracił trąbę. W kilka dni później dostałam wiadomość od jego prawnika, że Piotr nie żyje. Miał udar.

Dom, obrazy, cenną kolekcję monet i znaczków zapisał Elżuni. Naszej dziewczynce. Kolekcje w znacznej części

były mojego ojca. To on „zaraził” Piotrką numizmatyką i filatelistyką. Wysłałam je Piotrowi do Anglii. Po jego ślubie z Dorotą. Wiedziałam, że połknął bakcyła zbieractwa. Miałam nadzieję, że pomoże mu to przestać chociaż na parę godzin myśleć. Tak, jak mojemu ojcu po śmierci mamy.

Drugiej żonie mojego jedynego jestem i zawsze będę wdzięczna za wszystko, co zrobiła, w zasadzie dla jego, ale przecież mojej, naszej córeczki – Kasiulki.

Mnie Piotr w testamencie zabezpieczył finansowo. Od jego śmierci w dniu naszej rocznicy ślubu sama kupowałam słonika. Od niego. Oficjalnie byłego. Ale zawsze byliśmy razem. Nieważne, że rozdzieleni prawnie i oddzieleni prawie dwoma tysiącami kilometrów, a teraz wiecznością. Kiedyś znów się połączymy.

Przy zapalonym kinkiecie lub lampce nocnej mogłam zasnąć w dzieciństwie. Jako dorosła – już nie. Nawet po zażyciu tabletek na sen. Sztuczne światło zmuszało mnie do myślenia. Jasnego. Nie chciałam jasno myśleć. To mniej bolało w dziennym świetle. Ciemności mogłam nie wpuścić. Dlatego od lat mam białe, cienkie zasłony. Mimo to w zasadzie co noc przerażona, zdrętwiała ze strachu otwieram oczy i szukam słoników. Są. Mogę odetchnąć. To tylko sen. Wracam do rzeczywistości, żeby znów się bać. Tyle rzeczy umiem. Dlaczego nie potrafię wyłączyć myślenia?

– Mamuś, nie śpisz? – spytała szeptem i na bosaka podeszła do wersalki.

– Wskakuj. – Odwinęłam kołdrę, jednocześnie przesuwając się, żeby zrobić jej więcej miejsca.

– Pociemkujemy? – poprosiła, kładąc się na boku.

Zwrócona do mnie twarzą, wtuliła policzek w poduszkę.

– Pytaj dziecko. Co cię dręczy?

Od małego, tak jak Kasia w dzieciństwie, Elżunia przychodziła do nas do łóżka, siadała po turecku i przy zapalonej lampce nocnej zadawała swoje najdziwniejsze pytania. Piotr wstawał, całował mnie w policzki i śmiejąc się, życzył nam dobrej nocy. Sprawdzał, co u Kasiulki, i szedł spać do dużego pokoju. Gdy już zostałyśmy na dobre same, Elżunia wskakiwała już tylko do mnie, ale mówiła i pytała przy zgaszonym świetle. Łatwiej jej było ukryć wtedy swój wstyd, skrępowanie, czasami lęk i żal.

Piotr nadal sprawdzał, co u Kasi. Całował ją od siebie i ode mnie, ale już nie wychodził z naszej sypialni i nie nam życzył dobrej nocy. Nie mnie całował.

Miałam z moją dziewczynką umowę. W dzień nie wracam do spraw „ciemków”. Chyba że sama zdecyduje, że już może rozmawiać na dany temat w blasku światła.

– Mamuś, dlaczego tata nie chciał mnie widzieć? Gdy załatwił mi tę praktykę w szpitalu w Anglii, to myślałam, że po to, żeby nawiązać ze mną kontakt. Uprowadził mnie, że raczej się ze mną nie spotka. Mówiłaś, że chce mi tylko pomóc po rozstaniu z Jerzym. Ja miałam nadzieję. Mama. Nie mówiłam ci, ale dzwoniłam do niego. Odebrała jakaś kobieta. Powiedziała, że wyjechał na dwa lata i odłożyła słuchawkę. Potem poznałam Michała. Dałam sobie spokój. Nie chce mnie znać, to nie. On kochał tylko Kaśkę. Swoją córusię. Pani Helenka mi mówiła, że o niej zawsze mówił „córusia”. O mnie – „moja dziewczynka”. Dlaczego mnie dom zapisał, a nie tobie? Dlaczego? Powiedz. – Pytając, usiadła po turecku i wpatrywała się we mnie, chcąc odczytać z mojej twarzy odpowiedź.

– Kochanie moje, kochał cię po swojemu. Przecież wiesz, że pomagał nam cały czas finansowo. Załatwił ci tę pracę, żebyś miała zagraniczną praktykę, nauczyła się biegle angielskiego języka medycznego. Nie myślał o śmierci, a jednak spisał testament. Mógł zapisać wszystko mnie. Wiedział, że nigdy bym cię nie skrzywdziła. Jednak zapisał tobie. Mógł to zrobić

tylko z miłości. Byłaś mu bardzo bliska. Widocznie inaczej nie umiał tego okazać. Napisał przecież: „Zapisuję córce, mojej kochanej dziewczynce”. – Mówiąc, patrzyłam gdzieś ponad jej wzrokiem. I tym razem nic więcej nie mogłam powiedzieć. Jak wytłumaczyć cokolwiek z kneblem w ustach? – Myśl, że cię kochał tak jak ja, nasza mała dziewczynko – szeptałam, głaszcząc jej kochaną główkę.

– Mamuś, ty do mnie też mówisz najczęściej „moja dziewczynko”. Tak jak mówił tata. „Córka” tylko czasami, przeważnie do kogoś. Oficjalnie. Od dawna już mi to nie przeszkadza. Michał pod koniec zaczął cię papugować i też tak do mnie mówił. Teraz znów jestem tylko twoją dziewczynką. – Ela mamrotała, przytulając się do mnie. – Opowiedz mi moją bajkę.

Moja, nasza – już dorosła, doświadczona przez los – mała księżniczka, królewna, czasami niegrzeczny dzidzius, pociecha, później pannica i znów mała dziewczynka – zasnęła. W tym samym miejscu bajki, co zwykle. Jej ulubiona bajka to jedno zdanie powtarzane monotonnie w kółko. I bardzo głębokie, długie, wielokrotne ziewanie. „Bardzo zmęczony, mały, śliczny koteczek przytulił się do podusi i szepnął: jaki ja jestem śpiący, i ziewnął”. Ziewałam za kotka i wolno, cicho opowiadałam dalej: „Mały, śliczny pieseczek, zwinął się w kłębuszek, przytulił się do podusi i szepnął: jaki ja jestem śpiący”. Przeważnie wystarczało kilka bardzo śpiących zwierzątek i moich zaraźliwych ziewnięć. Czasami bajka nie pomagała. Nic nie było skuteczne. Wtedy było oczywiste, że potrzebne są mocniejsze środki...

Ela codziennie tłumaczyła, przekonywała, prosiła: „Mamuś. Spójrz, jaka jest prawda. Mamy tylko siebie. Nikt ani nic cię nie trzyma. Zostaniesz sama. Bez nikogo z rodziny. Jedź ze mną”. To była jej ocena rzeczywistości. Zgodna z prawdą. Dlatego martwiła się o mnie.

Prawda często ma kilka twarzy. Opis rzeczywistości może być zgodny. Wnioski i odczucia różnić się. Niekiedy radykalnie. Martwiło ją to, co mnie cieszyło. Odeszli ci, którzy mogli w każdym momencie przemówić. Śmierć Michała wywołała u mnie znów uczucie ogromnej ulgi. Pierwsza noc bez mokrej od zimnego potu piżamy. Koniec nocnych koszmarów i strachu dławiącego gardło. Nie ma już nikogo, kto by cokolwiek wiedział. Nie ma świadków. Już tylko ja znam prawdziwą prawdę. I jeszcze skrywa ją schówek w kanapie.

Zobaczyłam światelko w tunelu. Już nic się nie wyda. Czas podrzeć, spalić, żeby nikomu nie wpadły w ręce. Przedtem jeszcze przeczytać. Pamiętnik? Nie! Chyba że ten pierwszy zapisany zeszyt. Potem to miał być mój prezent dla Piotra, na jego życzenie: „Antidotum na naszą sklerozę”. Później? Czym to było dla mnie później? Spowiedzią? Nie. Nie mogłam się spowiadać. Ja nie grzeszyłam, ja zmieniałam przeznaczenie. Ja tylko chroniłam moją ukochaną córkę, Kasiulę. Nie potrzebowałam rozgrzeszenia księdza. Po co? Pan Bóg wiedział. Widział. Sam oceni i albo wyśle moją duszę do piekła, albo do nieba. Do czyśćca na pewno nie. Ja nie potrzebowałam oczyszczenia ani pokuty. Tym bardziej nawrócenia, bo skreśliłam świadomie i konsekwentnie z tej drogi nie zawróciłam.

Ja w tych zeszytach musiałam wylać, wyrzucić, wypłakać swoją ukrywaną niepewność – czy dobrze postąpiłam. Codzienny lęk – kiedy się wyda? Czy jestem wyrodną matką? Czy dając prawo do życia nowemu życiu – skróciłam życie swojej córeczce?! Zabrałam życie własnemu dziecku!? I ciągle poszukiwanie odpowiedzi na idiotyczne pytanie, które los mi zadał: „Czy nie dając przyjść na świat wnuczce, uśmierciłam też za życia babcię?”.

Zapisywałam strona po stronie. Tylko tak mogłam rozładować każdy napięty centymetr mojego ja. Pisałam. Zamykałam zeszyt i chowałam w sobie tylko znanym miejscu.